

Terry Carr

Taniec Przemieniającego się i Trójki

Zdarzyło się to przed wiekami w otchłaniach Kosmosu rozciągających się za Czarną Krawędzią, tam gdzie galaktyki pływają w nicości niczym nieme białe wieloryby. Było to tak dawno temu, że gdy światło z galaktyki, w której znajduje się Loarra, dotarło po wielu milionach lat podróży do Ziemi, nie było na niej jeszcze nikogo, kto mógłby je dostrzec - może z wyjątkiem nielicznych okruchów życia pływających w oceanach, ale te zbyt były zajęte swymi monotonnymi, jednokomórkowymi reakcjami, by zwracać uwagę na cokolwiek poza tym.

A jednak, chociaż historia ta zdarzyła się tak dawno temu, obecni mieszkańcy Loarry ciągle jeszcze ją pamiętają i gdy tylko poprosi o to jeden z nowo przemienionych, opowiadają ją swymi zawiłymi, zmiennymi falotańcami. Falotaniec nic by dla was nie znaczył, nawet gdyby udało się wam go zobaczyć, podobnie zresztą jak sama ta historia, gdybym opowiedział ją dokładnie tak, jak w rzeczywistości przebiegła. Traktujcie więc ją jak tłumaczenie i nie przejmujcie się, że gdy mówię "woda", to wcale nie mam na myśli naszej tlenowo-wodorowej mieszaniny i że "niebo" w naszym rozumieniu na Loarrze nie istnieje, czy też że Loarrańczycy nie byli - nie są - istotami "czującymi" i "myślącymi" tak, jak my to rozumiemy. W gruncie rzeczy możecie nawet traktować tę opowieść jak fikcję literacką, ponieważ znajduje się w niej diabelnie mało autentycznych faktów; ja jednak i tak na szczęście (albo niestety) pozostanę mądrzejszy od was, bo wiem, jak bardzo jest prawdziwa. Dlatego właśnie jestem z powrotem tu, na

Ziemi, podczas gdy czterdzieścioro dwoje moich przyjaciół i współpracowników pozostało martwych na Loarrze. Nie dano im żadnej szansy.

Był kiedyś Przemieniający się, który spędził trzy pełne cykle życia planując szczególny sposób zakończenia kolejnego z nich i wreszcie uznał, że nadszedł odpowiedni moment, by przystąpić do działania. W rzeczywistości wcale nie nazywał się Minnearo, ale ja będę używał tego imienia, bowiem jest ono najbliższe temu, co zawierało się w mieszance tonu, wzorca emocjonalnego i skojarzeń, stanowiącej jego jednostkową nazwę.

Kiedy podjął decyzję, zszedł ze skały, ze szczytu której spoglądał na loarrański ocean, i udał się pospiesznie do osobowości domów trzech swych najlepszych przyjaciół.

- Zamierzam popełnić samobójstwo - oznajmił pierwszemu z nich, Asterrei, falotańcząc tę wiadomość w najradośniejszy ze znanych mu sposobów.

Przyjaciel roześmiał się, tak jak tego oczekiwał Minnearo, ale niemal od razu odwrócił się i odszedł pozostawiając go samego, bowiem ostatnio miało już miejsce kilka samobójstw i powoli robiło się to po prostu nudne.

Swemu drugiemu przyjacielowi oddał Minnearo honorowy salut, z niezwykłą starannością odtwarzając każdą z sześćdziesięciu jego sekwencji, poczym zafalotańczył:

- Jeżeli ktoś miałby ochotę popatrzeć, to jutro pograżę me ciało w oceanie.

Drugi przyjaciel, Fless, uśmiechnął się wyrozumiale i odpowiedział, że owszem, przyjdzie zobaczyć widowisko.

Trzeciemu przyjacielowi Minnearo opisał za pomocą wielu podekscytowanych odbić i podskoków to, co jego zdaniem stanie się z nim w chwili, gdy zamkną się nad nim rozkołysane fale oceanu. Taniec, którym starał się oddać swoje domniemanie, był wymyślny i nawet dosyć obrazowy, jako że Minnearo znaczną część swego trzeciego cyklu spędził właśnie na jego obmyślaniu. Wykorzystywał w nim ruch, barwę, dźwięk oraz pewien nie znany nam zmysł, coś w rodzaju węchu, a wszystko po to, by możliwie wiernie oddać uczucie spadania, zderzenia z wodą, a potem błyskawicznego rozpuszczenia i zmieszania z oceanicznymi prądami, ogarniających go mroków i utraty świadomości, następnie kompletnej pustki i niebytu, aż wreszcie obudzenia i dopełnienia przemiany. Minnearo był z natury raczej romantykiem, toteż wyobrażał sobie, że jego ponowne skupienie nastąpi wokół źdźbła życia Krollima, jednego z wielkich bohaterów Loarry, i że forma, jaką przybierze, będzie właśnie taka, krollimowa. Zakończył nawet swój taniec aluzjami do przyszłej chwały i w konsekwencji imitowania jego, Minnearo, przez innych. Było to już zdecydowanie arogancją, jednak przyjaciel, do którego taniec był skierowany, kilkakrotnie skinął z aprobatą głową.

- Jeżeli spełni się choć połowa tego, co przewidujesz - powiedział ów przyjaciel, Pur - to ci zazdroszczę. Ale nigdy nic nie wiadomo.

- Właśnie - westchnął dość markotnie Minnearo. Zwlekał przez chwilę z odejściem, bowiem Pur był czymś, co chyba lepiej będzie nazwać kobietą i Minnearo miał nieśmiałą nadzieję, że może razem dokonają tego skoku. Ona jednak, nawet jeśli również o tym myślała, to nie dała tego po sobie poznać: spoglądała tylko chłodno na Minnearo, czekając żeby sobie poszedł; co też wreszcie uczynił.

A o stosownym czasie, obserwowany przez swego przyjaciela Flessa, Minnearo wykonał swój ostatni falotaniec jako Minnearo -- trochę nerwowy i niezbyt dokładnie skoordynowany, ale było to w tych okolicznościach zrozumiałe, po czym zbliżył się do krawędzi i skoczył, koziółkując w powietrzu. Zanim uderzył w wodę, zdążył wykonać pełne dwadzieścia cztery obroty.

Fless czym prędzej pospieszył do Asterrei i Pur, by opisać im ze szczegółami przebieg całego wydarzenia. Obydwoje śmiali się i cieszyli w odpowiednich miejscach, toteż całość można było uznać za sukces. Potem usiedli we trójkę i zaczęli zastanawiać się nad tym, jak powinni pomścić Minnearo.

W porządku, wiem, że większość z powyższego nie ma żadnego sensu. Być może dzieje się tak dlatego, że próbuję opowiedzieć wam o Loarrze używając naszych, ludzkich pojęć i terminów, a to w odniesieniu do istot tak bardzo nam obcych jest poważnym błędem. W rzeczywistości Loarrańczycy są niemal wyłącznie żywymi formami energii, ich świadomość zaś koncentruje się w każdym cyklu życia wokół przestrzennego ośrodka zwanego przez nich "źdźbłem życia", toteż gdy widzi się przyjmowane przez nich kształty (tak jak ja je widziałem, dzięki specjalnym filtrom percepcyjnym opracowanym przez naszą ekspedycję), przypominają czasem spiralne obłoczki, kiedy indziej gromadzące się wokół magnesu opiłki, czasem zaś na wpół stopione płatki śniegu (tak właśnie musiał owego dnia wyglądać Minnearo, bowiem jest to forma właściwa osobnikom bardzo starym lub popełniającym samobójstwo). Kształty te, rzecz jasna, ulegają ciągłym zmianom, ale każdy osobnik trzyma się z reguły jednego podstawowego wzoru.

Sama Loarra jest gazowym olbrzymem krążącym tak blisko wokół jej słońca, że rok trwa na niej zaledwie trzydzieści siedem Ziemijskich Dni Standardowych (w Układzie Słonecznym jej orbita zmieściłaby się swobodnie wewnątrz orbity Wenus). Planeta ma stałe jądro o całej masie twardych wybrzuszeń przypominających wyspy, ale zdecydowana większość jej powierzchni znajduje się w stanie płynnym bądź gazowym; wiruje, wrze i unosi się pod wpływem potężnych sztormów i huraganów. Dla każdego, kto choćby trochę przypomina człowieka, nie jest to miejsce zbyt zachęcające, ale znajduje się tu coś, co przyciągnęło uwagę Unicentrali: bogactwa naturalne.

Czy wyobrażacie sobie, jak może wyglądać górnictwo na planecie, gdzie w wyniku działania temperatury lub ciśnienia większość metali znajduje się w stanie płynnym? Większość ludzi sobie tego nie wyobraża, głównie dlatego, że dosyć rzadko mamy z taką sytuacją do czynienia, ale na Loarrze sytuacja ta była faktem i to w dodatku bardzo, ale to bardzo interesującym. Chociażby dlatego, że nasze analizy wskazywały na istnienie pierwiastków występujących do tej pory wyłącznie w teorii - a i to zakładając warunki panujące jedynie w jądrach gwiazd. Gdyby udało nam się do nich dostać... No właśnie, wiecie już, o czym myślę. Perspektywy surowcowe rysowały się doprawdy bardzo interesująco.

Jasne, wysłanie odpowiednio wyposażonej ekspedycji pochłonęłoby połowę zasobów Układu Słonecznego; niemniej jednak Unicentrala pomruczała coś do siebie przez dwie i osiem dziesiątych sekundy, po czym przekazała dokładne instrukcje, co i jak trzeba przygotować. I tak oto poleciliśmy.

A jeden Rok Standardowy później (czyli Pięć Lat Standardowych temu), byłem już na miejscu i siedziałem we

wnętrzu posadzonej na jednej z "wysp" góry udającej Ziemię, zastanawiając się, co też u diabła tu właściwie robię. Nie jestem przecież ani inżynierem-górnikiem, ani lekarzem, ani informatykiem - szczerze mówiąc, nie mam w ogóle żadnej specjalności wymagającej choć odrobiny technicznego wykształcenia. Jestem fachowcem od reklamy i doprawdy nie widziałem żadnego powodu, dla którego miałbym się znaleźć na tej cholernej, nieprawdopodobnej, parszywej, a co najważniejsze absolutnie nie nadającej się do zamieszkania planecie.

Taki powód jednak istniał, a była nim, rzecz jasna, sama Loarra. Oni przecież tutaj żyli (a raczej "żyli"), byli inteligentni, więc musieliśmy się z nimi dogadać. Ergo: ja.

Tak więc przez następnych kilka lat, dogadując się z nimi i służąc za swoisty pomost w kontaktach, udało mi się sporo o nich dowiedzieć. W każdym razie wystarczająco dużo, żeby przełożyć, choćby nieudolnie, falotaniec Przemieniającego się i Trójki, który jest odpowiednikiem heroicznego poematu ludowego (czy raczej mógłby być, gdyby cokolwiek z tego, co oni mają, można było uznać za odpowiednik czegokolwiek, co jest u nas).

Wracając do rzeczy:

Fless postulował zawiązanie między Trójką swego rodzaju Paktu, na mocy którego każde z nich, celowo i świadomie rezygnując z obowiązujących honorów, popełniłoby samobójstwo dokładnie w ten sam sposób, co Minnearo.

- W ten sposób uda nam się zabić to samobójstwo - wyjaśnił ożywionymi zafalowaniami.

Pur okazała się bardziej praktyczna.

- W ten sposób uda nam się zabić tylko to jedno samobójstwo - poprawiła go. - To nie wymaga ani krzty pomysłowości, można to zrobić bez chwili namysłu. Minnearo zasługuje na coś więcej.

Asterrea, wydawało się, nie miał własnego zdania. Skakał dokoła mieniając się najróżniejszymi barwami, to znikając, to znów się pojawiając nieco dalej lub bliżej. Czekali, żeby coś powiedział; wreszcie się ustabilizował, zawisł na moment w powietrzu, po czym opadł na ziemię, gdzie już pozostał. Powolnymi, wyważonymi poruszeniami oznajmił:

- Nie jestem pewien, czy zasługuje na jakąś oryginalniejszą zemstę. Przecież to wcale nie było nowe samobójstwo. A poza tym kto n a s pomści? - zapytał, teraz już nieco bardziej wyrazistym zafalowaniem.

- Jeżeli to, co zrobimy, będzie wystarczająco wielkie - odparła ostrożnie Pur - to nie będziemy może potrzebować żadnej zemsty.

Pozostała dwójka zamarła na moment w środku swych falowań, rozważając tę ewentualność. Fless przeszedł od błękitu poprzez zieleń do jaskrawej czerwieni, która następnie ustąpiła miejsca przydymionej żółci; Asterrea pulsował głębokim ultrafioletem.

- Każdy zawsze był mszczony - powiedział wreszcie Fless.
- To co mówisz, nie ma żadnego sensu.

- Gdybyśmy jednak zrobili coś rzeczywiście wielkiego... - powtórzyła Pur i zaczęła emitować ciepło, które przyciągnęło, choć nie od razu, jej rozmówców. - Coś, czego nikt nigdy wcześniej nie dokonał, w ż a d n e j postaci. Coś co nigdy nie

będzie mogło zostać pomszczone, ponieważ będzie czymś p o z y t y w n y m - nie przemianą w śmierć, nie zniszczeniem, zniknięciem czy zapomnieniem, ale czymś p o z y t y w n y m.

Ultrafiolet Asterrei pogłębiał się coraz bardziej, aż w końcu on sam wyglądał tylko jak dziura w powietrzu.

- To niebezpieczne, niebezpieczne, niebezpieczne! -
zajęczał kiwając się apatycznie w przód i w tył. - Wiesz, że nie możemy się tego podjąć; musielibyśmy zrezygnować z następnych cykli życia. Przecież to, co pozytywne... -
zniknął w ciemności i nie pojawił się przez dobrych kilkanaście sekund. Kiedy znowu się pokazał, był zupełnie nieruchomy, ale pulsował lekko i widać było, że z każdą chwilą odzyskuje siły.

Pur odczekała, aż jego barwa i ton powrócą do normalnego stanu, po czym zafalowała w specjalny, delikatny sposób obliczony na to, by ponownie skierować pozostałych dwóch Loarrańczyków na tory chłodnej, rozsądnej dyskusji.

- Zastanawiałam się nad tym już od sześciu cykli - zatańczyła. Z pewnością muszę mieć rację, przede mną nikt tak długo nie zajmował się tą sprawą. To co pozytywne, wcale nie musi być niebezpieczne, bez względu na to, co twierdzą teorie trzy- i czterocyklowe. Wręcz przeciwnie, może to mieć nawet dobroczynne skutki. - Przerwała, rozsiewając pomarańczowy blask. - A poza tym to będzie coś n o w e g o -
dodała szybką spiralą. Och, jak bardzo nowego!

I tak wreszcie zgodzili się na realizację jej planu.

Przedstawiał się on w skrócie następująco: na odległej wyspie wynurzającej się z największych głębin loarrańskiego oceanu, gdzie potworne, nigdy nie ustające sztormy rozbijały

płynne stopy metali w unoszącą się w powietrzu oślepiającą zawiesinę, znajdował się Ośrodek sił, unikany przez wszystkich mieszkańców Loarry ze strachu przed nieuniknioną i ostateczną śmiertelną przemianą. Nawet najstarsze falotańce znane od czasów prehistorycznych utrzymywały, że Ośrodek ów znajdował się tam zawsze i że sami Loarrańczycy tam właśnie się narodzili lub stamtąd uciekli, czy w jakiś inny sposób oszukali panujące tam niepodzielnie prawa. Jakakolwiek byłaby prawda, to Ośrodek pochłaniał ogromne ilości energii, przyciągając do siebie każdego Loarrańczyka czy jakakolwiek inną istotę, która miała nieszczęście znaleźć się w jego zasięgu. (Całe życie na Loarrze zbudowane jest bowiem z czystej energii - łącznie z pozbawionymi inteligencji, zapachu, głosu i wolnej woli, unoszącymi się na falach oceanu i w powietrzu stworzeniami, których jedyne zadanie i sens istnienia polega na tym, by służyć za źródło pożywienia. Było ich mnóstwo na całej planecie, ale Loarrańczycy niemal ich nie dostrzegali; jedli, gdy byli głodni, i to wszystko.)

- Więc chcesz, żebyśmy zniszczyli O ś r o d e k ? -
wykrzyknął Fless tańcząc i kiwając się na boki z podniecenia.

- Niczego nie będziemy n i s z c z y ć - odparła chłodno Pur.
- To będzie przemiana ż y c i a; nie destrukcja.

- Przemiana życia? - zapytał słabo Asterrea, kołysząc się w powietrzu.

- Tak, przemiana życia - powtórzyła. Bo przecież Ośrodek ów stworzył niegdyś, czy może dopuścił do tego, by zostali stworzeni Najstarsi z Loarrańczyków, owe istoty-sprzed-wielu-cykli, które następnie łączyły się i dzieliły, zmieniały i przemieniały, by wreszcie dać początek współczesnym

mieszkańcom planety. A skoro już raz tam coś powstało, to dlaczego nie miało powstać po raz drugi?

- Ale jak? - zapytał Fless starając się zachowywać maksimum rozsądku. Zatańczył pytanie z wielką precyzją, świecąc cały czas stabilną, niewzruszoną energią.

- Będziemy potrzebować pomocy - oświadczyła Pur i zagłębiła się w wyjaśnienia, jak to kiedyś usłyszała (od wiatroptaka, istoty o dość ograniczonej inteligencji, ale za to doskonałej pamięci), że jeden z Najstarszych wciąż jeszcze trwa w pierwszym cyklu życia w osobowości domu mieszczącym się blisko Ośrodka. W pradawnych czasach, kiedy to samobójstwo uważane było jeszcze za najbardziej ostateczny ze wszystkich sposobów dokonania zmiany cyklu życia, ów Najstarszy dokonał przekształcenia za pomocą czegoś, co można by nazwać "samobójstwem negatywnym"; zmarł w swym obecnym stadium, tak że zarówno jego świadomość, jak i forma zewnętrzna powtarzały się bezustannie, podczas gdy wszyscy dokoła wraz z następującymi po sobie kolejnymi przekształceniami zmieniali się, dojrzewali i dorośleli, różniąc się coraz bardziej od pierwotnych postaci, a jednocześnie mając coraz więcej wspólnych wspomnień, on zaś, ostami z Najstarszych, trwał niezmiennie taki, jakim był na samym początku. Znał, pamiętał i rozumiał tylko ów początek.

Z tego właśnie powodu jego przemiana była najtragiczniejszą ze wszystkich, jakie dokonały się na Loarrze (wiatroptak słyszał również z ośmiu niezależnych źródeł i każdą z tych relacji powtórzył słowo w słowo, że przez wieki, jakie minęły od chwili jego przemiany, niezliczone setki Loarrańczyków próbowały go pomścić, ale nikomu się to nie udało). Nikt jej również nigdy nie powtórzył i dlatego ten

Najstarszy był w ogóle jedynym Najstarszym na Loarrze. Z tego właśnie powodu odgrywał tak wielką rolę w ich planach, zakończyła Pur.

- Ale jak on może żyć w pobliżu Ośrodka i nie zostać przez niego pochłonięty? - zapytał Asterrea za pomocą zdumionej sekwencji kurczenia się, rozrastania, przygasania i świecenia.

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć - powiedziała Pur i po stosownych pozdrowieniach i rytuałach cała trójka wyruszyła na poszukiwanie Najstarszego.

W tym miejscu każdy falotańczący opowieść o Przemieniającym się i Trójce poświęca sporo czasu na to, by za pomocą nagłych zmian koloru, rozbłysków światła, subtelnie cieniowanych obłoków ciemności, podskoków, obrotów, skłonów i uników opisać scenę, w której Pur, Fless i Asterrea rozpoczynają podróż przez odwieczny ocean. Widziałem ten taniec niezliczoną ilość razy i za każdym następnym wydawało mi się, że tylko cieniutka, niemal niewyczuwalna granica dzieli mnie od tego, by w pełni pojąć znaczenie, jakie przedstawia on dla Loarran. Zawieszono nisko obłoki wyrzucające z siebie nieukierunkowaną, martwą energię, w dole ryczący ocean, usiłujący dosięgnąć przemykających nad nim podróżników, wirujących dokoła siebie po skomplikowanych trajektoriach, jak elektrony bawiące się w kółko graniaste dokoła niewidocznego jądra. Lamenty przemieniających się i chichoty nowo przemienionych pozostały daleko za nimi, na poszarpanej wysepce. Do tego ich barwy: krwistoczerwona Asterrei, jaskrawozielona Flessa i spokojna, złota - Pur. Ciągle ich widzę i słyszę, ale dla mnie jest to tylko obce, niezrozumiałe piękno, nie zaś uniesienie, egzaltacja i groza, jakie obraz ten wywołuje u Loarran.

Kiedy wędrowcy odczuli wibracje i zawirowania powietrza świadczące o tym, że znajdują się już blisko Ośrodka, przerwali lot i zawisli w bezruchu nad ciemnym, wzburzonym oceanem. Porozumiewali się tylko krótkotrwałymi migotaniami barw, bowiem znaczną część energii musieli skupić na tym, by nie poddać się odczuwalnemu działaniu Ośrodka.

- To gdzieś tutaj? - zapytał Asterrea błyskiem zieleni.

- Chyba bliżej Ośrodka - odparła czerwienią i fioletem Pur.

- Czy na pewno? - wyraził wątpliwość Fless, ale nie otrzymał od Pur odpowiedzi, od Asterrei zaś nawet jej nie oczekiwał.

Ocean ryczał, wiatr wył, a Ośrodek coraz bardziej ich przyciągał.

W pewnym momencie poczuli, iż wbrew ich woli zmienia się ich wzajemne położenie, i przeżyli moment strachu, że jednak ulegli oddziaływaniu Ośrodka. Przysunawszy się bardziej do siebie zaczęli wirować jeszcze szybciej niż poprzednio, tworząc coraz bardziej pogmatwany wzór, ale nic to nie pomogło. Jakaś przemożna siła uparcie starała się ich rozdzielić, przesuwając ich jednocześnie coraz bliżej punktu, w którym koncentrowały się nieznane, tajemnicze moce.

I właśnie wtedy poczuli, że jest z nimi Najstarszy.

Przyłączył się do ich ruchu; to chyba właśnie dlatego odczuli przez moment, że coś zakłóca ich wzajemne oddziaływanie. Wirując i migocząc najróżniejszymi barwami Najstarszy poprowadził ich ponad groźnym oceanem, promieniując cały czas ciepłem, które potrafiło się przebić

przez najzawziętą nawet nawałnicę. Przyglądali mu się z podziwem.

Doprawdy, nie przypominał wcale żadnego z nich. Tak jakby... jakby nie był wyłącznie energią. W połowie składał się z materii i ten swój niezwykły ciężar nosił z niezgrabnym, wiekowym wdziękiem, naprężając swe zewnętrzne kontury niemal do granic ich wytrzymałości, by tylko mogły utrzymać ciężar jego materialnego środka i nieść go przez powietrze. (Przypominał nieco na wpół roztopiony płatek śniegu, tak, nawet na pewno, tyle że ciemny i ponury, zupełnie jakby przysypany sadzą.) Jak na razie jeszcze się nie odezwał.

Przemówił dopiero wówczas, gdy doprowadził całą Trójkę do bezpiecznego zacisza swego osobowości domu stojącego na skraju niewielkiej skały sterczącej z odmętów. Tam, w oazie ciszy i spokoju, do której nie sięgał ryk oceanu i gdzie nie trzeba się było obawiać niszczącego działania Ośrodka, powiedział z wyraźnym zmęczeniem:

- A więc przybyliście.

Mówił powolnym falowaniem w przód i w tył, zabarwionym jednostajną, ciemną czerwienią.

Trójka nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć; dopiero po pewnym czasie postanowiła zaryzykować Pur:

- Czy czekałeś na nas?

Najstarszy raz i drugi rozbłysnął odrobinę intensywniejszą czerwienią i po dłuższej chwili powiedział:

- Ja nie c z e k a m. Nie ma na co. - A po jeszcze jednym rozbłysku: - Czekaj na przyszłość. A przyszłości, jak wiecie, nie ma.

- Przynajmniej nie dla niego - powiedziała łagodnie Pur do swych towarzyszy. Fless i Asterrea opadli lekko na skalistą podłogę i zaczęli się miarowo kołysać.

Najstarszy również osiadł na podłodze, ale w przeciwieństwie do nich pozostał w bezruchu. W powietrzu unosiła się już tylko Pur, lecz i ona nie mogła rozjarzyć się bardziej niż do spokojnego, niebieskozielonego blasku.

- Ale wiedziałeś, że przyjdziemy - zwróciła się do Najstarszego.

- Że przyjdziecie? Ze przyjdziecie? Owszem, a także i to, że przyszlście i że przychodziecie. Dla mnie, widzicie, istnieje tylko dzisiaj. Kiedy wszyscy przeminą, ja ciągle będę Najstarszym. Nigdy się nie zmienię - ani ja, ani mój świat.

- Inni już przeminęli - powiedział Fless. - Żyjemy wiele cykli po tobie, o Najstarszy. Tak wiele, że nie potrafiłyby ich zliczyć nawet wiatroptaki.

Najstarszy wyprostował nieco swą część materialną, dopasowując do niej strannie zewnętrzny obieg energii. Do czerwieni, którą promieniował, dodał ledwo słyszalny, lekko wibrujący pomruk i powiedział:

- Tu, na skale, nie ma nic po mnie. Przychodząc tutaj znajdujecie się poza czasem, dokładnie tak jak ja. Wasza obecność tutaj oznacza, że zawsze tu byliście i zawsze będziecie, dopóki nie zdecydujecie się odejść.

Niespodziewanie Asterrea rozbłysł oślepiającym, żółtym światłem i wyprysnął w górę. Fless przyglądał się, Pur zaś próbowała go uspokoić, Asterrea jednak starał się przebić przez granicę oddzielającą schronienie Najstarszego od szalejącego za zewnątrz sztormu. Z każdym razem odbijał się

od niewidzialnej ściany i za każdym razem powracał, próbując ją sforsować. Zmieniał błyskawicznie barwy, wydawał niezwykle dźwięki, aż wreszcie opadł bez sił na kamienną podłogę.

- Pułapka! Pułapka! - pulsował słabo. - Ośrodek jest pułapką, powinniśmy byli o tym wiedzieć. Nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Najstarszy nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co robi Asterrea.

- I właśnie dlatego, że jestem poza czasem, Ośrodek nie może mi nic zrobić - powiedział powoli. - I właśnie dlatego, że jestem poza czasem, znam go, ponieważ pamiętam, jak sam się z niego narodziłem.

Pur zostawiła Asterreę tam, gdzie leżał, i zbliżyła się do Najstarszego. Zawisła nad nim, zastanawiając się przez moment drganiem niebieskiej poświaty, po czym zapytała:

- Czy możesz nam powiedzieć, jak się narodziłeś? Czym jest akt stworzenia? Jak powstają nowe rzeczy? - Zamilkła, by po chwili dodać: I czym jest Ośrodek?

Najstarszy, pochylony nieco do przodu, wydawał się bardzo zmęczony. Jego barwa znowu się zmieniła, przyjmując głęboki, czerwony odcień, i Trójka mogła dostrzec każdy z atomów materii uwieczonych w jego polu energetycznym.

- Tak wiele pytań, by zadać jedno pytanie - powiedział i udzielił im na nie odpowiedzi.

A ja nie mogę udzielić wam na nie odpowiedzi, ponieważ sam jej nie znam. Nikt jej teraz nie zna, nawet współcześni Loarrańczycy, którzy po tysiącach miliardów cykli stali się

wreszcie Trójką. Loarrańczycy bowiem robią się coraz bardziej odmienni... Przechodząc z cyklu do cyklu stają się innymi "osobami" i po tak ogromnej liczbie przemian wszelkie wspomnienia i pamięć tracą wszelki sens. ("Sam się o tym przekonaj", zafalotańczył kiedyś do mnie pewien Loarrańczyk i nic nie wskazywało, że uważa to za żart.)

Do dziś na przykład cała Trójka, co prawda oddalona od tamtej niepoliczoną ilość cykli, a jednak ciągle ta sama, przygląda się Tańcowi Przemieniającego się i Trójki, i chociaż jest to przecież o nich, to są tym bardzo podnieceni i poruszeni, jakby była to zupełnie nowa, nie znana im opowieść, jakby nigdy tego sami nie przeżyli. A mimo to jeśli tancerz pomyli się w jakimś ruchu czy opuści jedną z barw lub którykolwiek z dźwięków, Trójka natychmiast go poprawia. (Sam legendarny Przemieniający się, Minnearo, także często zjawia się podczas falotańców, ale najczęściej znika zaraz po odtworzeniu swego samobójstwa.)

Nawet korzystając z wielkich możliwości Unicentrali trudno jest czasem odróżnić jednego Loarrańczyka od drugiego. A możliwości te są naprawdę niemałe i dzięki nim wyposażony byłem w najróżniejsze rodzaje filtrów recepcyjnych, symulatory częstotliwości i grawitacji oraz w zajmujący więcej niż połowę powierzchni mojej małej wysepki minikomputer, który w ciągu dwóch sekund może przemyśleć i przeanalizować więcej niż ja w ciągu pięćdziesięciu lat. Podczas czteroletniego pobytu na Loarrze poznałem" sporo jej mieszkańców, ale nawet pod koniec pobytu nigdy nie byłem zupełnie pewien, z kim akurat "rozmawiam". Oczywiście mogłem przeprowadzić siedemnaście czy osiemnaście testów, podłączając filtry do odpowiednich wejść komputera, i po niedługim czasie otrzymać pewną w stu procentach odpowiedź, ale

Loarrańczycy nie są zbyt cierpliwi i zanim bym z tym skończył, mój rozmówca, kimkolwiek by nie był, już gdzieś indziej tańczyłby i podskakiwał w tej piekielnej mieszance, którą oni nazywają powietrzem. Tak więc najczęściej prowadziłem moje badania, negocjacje czy po prostu zwykłe pogaduszki z każdym, kto tylko zechciał zwrócić uwagę na moje unoszące się w powietrzu elektroniczne "oczy", i wkrótce przekonałem się, że naprawdę nie ma większego znaczenia, z kim rozmawiam: żaden z nich nie mówił choćby odrobinę bardziej z sensem od reszty. W mojej opinii wszyscy co do jednego byli totalnymi szaleńcami, kretynami, idiotami, maniakami i w ogóle wszystkim, co najgorsze.

Jeżeli sprawiam wrażenie zgorzkniałego, to tylko dlatego, że taki jestem w istocie. Jestem zgorzkniały z powodu czterdziestu dwóch zamordowanych ludzi. Ale teraz powróćmy już do najwspanialszej legendy starożytnej, dumnej rasy:

Gdy Najstarszy powiedział im to, co chcieli usłyszeć, wszyscy, nie wyłączając Pur, zaczęli skakać, błyskać i tańczyć w powietrzu. Było to właśnie to, o co im chodziło, a nawet więcej. Była to całkowita, wyczerpująca odpowiedź na ich pytania, która pozwoli im na twórcze przeżycie każdej z negatywnych przemian, jaka tylko mogłaby ich czekać.

Po pewnym czasie Trójka doszła do siebie i przypomniała sobie o rytuałach.

- Dziękujemy ci w imieniu Minnearo, którego samobójstwo mamy pomścić - zafalotańczył pełnymi szacunku ciemnobłękitnymi spiralami Fless.

- Dziękujemy ci także w naszym własnym imieniu - powiedział Asterrea.

- Dziękujemy ci wreszcie w imieniu nikogo i niczego, to bowiem jest największe z możliwych podziękowań - zakończyła Pur.

Najstarszy nie zareagował na ich słowa, pulsując niezmiennym rytmem głębokiej czerwieni. Dopiero po dłuższej chwili przemówił.

- Przyjęcie podziękowań równa się wzięciu na siebie odpowiedzialności, a w wiecznie trwającym dzisiaj, w którym się znajduję, o czymś takim nie może być mowy, bo nie istnieje przecież coś takiego jak nowy czyn, wobec którego zajmuje się jakieś stanowisko. Jak wiecie, jestem poza czasem, a to znaczy niemal to samo, co być poza życiem. Wszystko, co wam powiedziałem, już kiedyś słyszeliście i usłyszycie jeszcze nie raz.

Niemniej jednak Trójka z wdziękiem i bez najmniejszej pomyłki odprawiła starannie wszystkie ceremonie dziękczynne - barwnodźwiękowe przedstawienia, tańce, ofiarowywanie własnej energii i tak dalej.

- Można dziękować nawet za czyn z odległej przeszłości lub nieświadomy odruch, a my dziękujemy przecież za coś więcej - powiedziała Pur. Najstarszy pulsował tylko ciemną czerwienią i nic nie odpowiedział; po pewnym czasie Trójka ruszyła w drogę.

Uzbrojeni w wiedzę, którą się z nimi podzielił, nie mieli żadnych kłopotów z przebyciem bariery chroniącej osobowościom Najstarszego i po chwili znaleźli się znowu w sercu kłębiącego się dokoła Ośrodka sztormu. Przez długie

minuty wisieli tylko w powietrzu, wirując wokół siebie w najciaśniejszych z możliwych splotach, podczas gdy huragan i przyciąganie Ośrodka czyniły wszystko, by ich rozerwać. Potem sami się rozdzielili i rzucili się prosto w serce Ośrodka, w którym zniknęli.

Podczas spadania nie czuli ani ruchu, ani upływu czasu. Nie wiedzieli o tym, że są już po przemianie - przemianie z istnienia w nieistnienie, z bytu w niebyt. Wiedzieli tylko tyle, że oddali się we władanie Ośrodka, że są zagubieni w ciemności i bezwymiarowej pustce. Wiedzieli, że gdyby wydali z siebie jakiś dźwięk, nie odpowiedziałoby im żadne echo, że błysk światła zginąłby w ciemności, nie miałby bowiem od czego się odbić. Znajdowali się w miejscu, z którego wzięło się życie i miejsce to było puste. Dopiero miało zostać wypełnione. Przez nich.

Wykorzystali więc znajomość sekretu, który zdradził im Najstarszy, sekretu, który ci na Początku odkryli tylko przez przypadek i który mógł zapamiętać tylko jeden z Najstarszych. Przygotowali się do tego jeszcze przed wniknięciem do Ośrodka, więc teraz niemal automatycznie robili to, co do nich należało; były to czynności nieświadome, niemal bezładne, które mogłaby wykonać nawet nieożywiona energia. I gdy wszystko zostało zrobione, tam, gdzie należało, i wtedy, kiedy akurat było to konieczne, nastąpił akt stworzenia.

Była to istota - dostarczyciel żywności. Powstawała w roztaczającej się dokoła nich pustce, rosnąc i promieniując coraz silniej swą jednostajną, szarawą poświatą, aż w końcu była już gotowa. Unosiła się przez moment bez ruchu, a potem, niczym podmuchem eksplozji, została wyrzucona poza Ośrodek, poza nicość, poza ciemność i milczenie, prosto w huczącą potworność szalejącego na zewnątrz huraganu. A za

nią, za tym prymitywnym okrucmem życia, które udało im się stworzyć, wyleciała także cała Trójka.

Na zewnątrz skupili się odruchowo wokół siebie i zaczęli wirować w najzawilszym i najściślejszym z możliwych wzorów, starając się desperacko przeciwstawić okrutnej, rozszarpującej ich sile. Ponownie poczuli wszechmocny uścisk Ośrodka i zrozumieli, że jeżeli mu się nie oprą, zostaną wciągnięci jeszcze raz, ale tym razem już na zawsze. Byli niemal zupełnie wyczerpani; Ośrodek zabrał im więcej, niż przypuszczali. Właściwie nie mieli pewności, czy w ogóle żyją, a przecież musieli się jakoś przeciwstawić miażdżącym ciosom burzy i Ośrodka, i spleść się w wirujący kłęb, któremu udałoby się przedostać tam, gdzie było cicho i spokojnie.

Istniał tylko jeden sposób, dzięki któremu mogli to osiągnąć.

Tknięci jednym impulsem rzucili się na bezmyślną istotę, którą dopiero co stworzyli, i pożarli ją.

Nie jest to właściwie koniec Tańca Przemieniającego się i Trójki - trwa on jeszcze trochę, opowiadając o zaszczytach, jakie spotkały Trójkę po powrocie, i o reakcji Minnearo, gdy ten zakończył swą przemianę pojawiając się wokół źdźbła życia pozostawionego przez umierającego wiatroptaka, i o tym, jak cała Trójka zrezygnowała z wszelkich honorów i niemal od razu dokonała własnych przemian - ale jakoś nigdy nie mogę się nad tą resztą skupić. Zawsze uderza mnie ten właśnie moment opowieści, kiedy Trójka niszczy to, co stworzyła, w wyniku czego wraca dokładnie z tym, z czym wyruszyła. Nie ma w relacji o tym nawet odrobiny ironii, a jednak, jeżeli chodzi o Loarrańczyków, jest to emocjonalny szczyt narracji. W gruncie rzeczy jest to w ogóle cały sens

Tańca i jedyny powód jego istnienia, jak wyjaśnili mi dużo jaskrawszymi barwami i gwałtowniejszymi poruszeniami niż wtedy, gdy mówią o czymś nie budzącym większych emocji. Gdyby Trójce udało się wrócić bez konieczności zjedzenia istoty, którą stworzyli, to ich osiągnięcie zostałoby po prostu należycie odnotowane, pochwalone, wyśmiane przez nowo przemienionych i zapomniane w ciągu dwóch cykli życia.

I takie właśnie są te istoty, z którymi musiałem sobie jakoś radzić i których praw miałem bronić. Byłem ambasadorem na planecie rojącej się od stworzeń, które najspokojniej mogłyby mi oświadczyć, że dwa plus dwa równa się kolor pomarańczowy. Tak, właśnie dlatego jestem z powrotem na Ziemi, i dlatego też jest tu reszta ekspedycji; to znaczy ci, którym udało się przeżyć.

Gdybyście mogli zapoznać się z piętnastotąsmowym raportem, który dostarczyłem Unicentrali (ale nie możecie, bo wszystkie swoje porażki Unicentrala klasyfikuje jako "ściśle tajne"), to nie dowiedzielibyście się o Loarrze niczego ponad to, co wam przekazałem relacjonując Taniec Przemieniającego się i Trójki. Dowiedzielibyście się nawet mniej, bo chociaż raport zawiera całą masę faktów i danych oraz wszelkie mogące je wyjaśnić teorie, jakie tylko zdołałem sam wymyślić lub jakie udało mi się wycisnąć z komputera, to nie ma w nim zbyt wiele informacji o Tańcu. A tylko w ten sposób, na wycucie, nie na inteligencję, można zrozumieć, z czym mieliśmy tam do czynienia. Po czteroletnim (w Latach Standardowych) pobycie na Loarrze, po nawiązaniu kontaktów, wymianie podarunków, uprzejmości i informacji, po rozpoczęciu prac górniczych i prowadzeniu ich bez żadnych większych przeszkód przez mniej więcej trzy lata, po tym wszystkim zostaliśmy zaatakowani. Pewnego dnia zza horyzontu wypełzła fala ciemnofioletowego światła, a gdy się

zbliżyła, dostrzegłem, że jest to olbrzymia chmara jarzących się tym samym blaskiem Loarrańczyków. Znajdowałem się wewnątrz góry, toteż widziałem i przeżyłem wszystko, co później nastąpiło.

Spadli na nas jak szarańcza. Za pierwszy cel obrali sobie ciągniki i spychacze. Metal, z którego były wykonane, rozżarzył się do czerwoności, białości, roztopił się, by wreszcie zmienić się w opary gazu, w którym znajdowały się także molekuly tworzące jeszcze niedawno siedemnaście ciał ludzkich.

Włączyłem sygnał alarmowy i wezwałem wszystkich do środka, ale udało się to tylko nielicznym. Reszta znalazła śmierć w tunelach, w których dopadli ich Loarrańczycy. Wtedy zapadły grodzie i góra została odcięta od świata zewnętrznego. Zostało nas sześciu obserwujących na ekranach, jak Loarrańczycy kończą dzieło zniszczenia, likwidując fragmenty budowli i wyposażenia, które z początku uszły ich uwadze.

Wysłałem na zewnątrz troje elektronicznych "oczu", ale i one zmieniły się natychmiast w parę.

A potem czekaliśmy, kiedy uderzą w górę... Sześciu przerażonych, milczących, spoconych mężczyzn skupionych w centrali.

Nie uderzyli. Uformowani w ciasną spiralę okrążyli trzykrotnie górę, opadli w dół pięknym, pożegnalnym ześlizgiem i zniknęli nam z oczu. Pozostała ich tylko garstka.

Po jakimś czasie wysłałem czwarte "oko". Jeden z Loarrańczyków zbliżył się do niego, okrążył je niczym robaczek świętojański, rozbłysnął całą gamą barw i zawisł

przed nim bez ruchu. Była to Pur, co prawda o tysiąc milionów cykli oddalona od tej, którą znamy i kochamy, ale przecież Pur.

Wysłałem sekwencję barw i poruszeń, która znaczyła mniej więcej: "Dlaczego to, u diabła, zrobiliście?!"

Pur przez kilka sekund świeciła spokojnym, żółtym blaskiem, po czym udzieliła mi odpowiedzi niemożliwej do przetłumaczenia. A jeśli ktoś by jednak próbował ją przełożyć, otrzymałby wówczas tyle, co "dlatego".

Zapytałem po raz drugi, tylko w inny sposób, a ona odpowiedziała mi również inaczej, ale znaczyło to dokładnie to samo. Zapytałem po raz trzeci i czwarty, i za każdym razem otrzymywałem tę samą odpowiedź. Wydawała się zachwycona możliwością różnorakiego tańczenia tej samej odpowiedzi. Może myślała, że się bawimy?

No cóż... Wysłaliśmy już wcześniej sygnał alarmowy, więc nie pozostało nam nic innego jak czekać na przybycie statku ratowniczego i mieć nadzieję, że wcześniej nie nastąpi powtórny atak, bo przecież nie mieliśmy żadnych możliwości obrony. Byliśmy tylko górnikami, a nie garnizonem wojskowym. Zresztą ciekawe, jak wojskowi poradziliby sobie z przeciwnikiem, który jest czystą energią. Przez cały czas wysyłałem na zewnątrz "oczy" i rozmawiałem z różnymi Loarrańczykami. Czekaliśmy na statek trzy tygodnie i przez ten czas z pewnością udało mi się rozmawiać z co najmniej setką z nich. Oto, co udało mi się ustalić:

Przyczyna, która skłoniła ich do zniszczenia naszej ekspedycji, była dla nas nie to, że niezrozumiała, ale po prostu nieprzetłumaczalna. Nie, nie są szaleni. Nie, nie chcą,

żebyśmy odeszli. Tak, możemy wywozić z ich planety wszystko, na co tylko mamy ochotę.

I co najważniejsze: Nie, nie potrafią mi powiedzieć, czy kiedykolwiek powtórzą atak.

A więc odlecieliśmy, dokuśtykaliśmy na Ziemię i złożyliśmy raporty Unicentrali. Zawarliśmy w nich, jak powiedziałem, każdą informację, jaką tylko mogliśmy sobie przypomnieć, łącznie z szacunkowymi ocenami wartości odkrytych na Loarrze złóż: jest to około sześciu razy więcej, niż wartość wszystkich zasobów naturalnych całego Układu Słonecznego. Decyzję, czy powinniśmy tam wrócić, pozostawiliśmy Unicentrali.

Unicentrala brzęczy i mruczy już od dziesięciu miesięcy, ale jak na razie decyzji nie podjęła.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik